

EDMUND ZECHENTER.

Po latach...

— „Szczególna wizyta...” — pomyślała pani zapewne ze wzruszeniem ramion, czytając moją kartę...

— Ależ pomyślałam tylko: zaszczytna!... Bo prawdziwy to zaszczyt dla mnie, że pan, należący dzisiaj do naszych głośnych i sławnych, wróciwszy z za granicy, raczyłeś sobie przypomnieć o jakiejś tam znajomej z przed lat „zjadacze chleba”...

— Czy jednak te odwiedziny nie stanowią wykroczenia przeciw regułom towarzyskim, bo męża pani nie znam osobiście...

— Wkrótce przyjedzie z fabryki, poznać się panowie i wszystko będzie po formie... Niechże pan siada, bardzo proszę...

Żrenice ich utonęły w sobie na chwilę, lecz zaraz się rozbiegły, jak spłoszone ptaki. Była minuta męczącego milczenia. Z przeciwległej ściany salonu patrzył na nich uparcie portret sędziwej damy o rysach ostrych i ustach dumnych, zaciętych.

— Od ośmiu lat nie widziałem pani...

— Ach, czas tak prędko ucieka i tyle zmian przynosi!... Trzy lata temu sielskie życie w naszym dworku zamieniłam na czysto miejskie... Wnęć potem pochowałam mamę. Brat po dłuższej przerwie znów w Heidelbergu; właściwie ma się promować na doktora filozofii. Będzie to drugi doktorat. Panowie pisujecie do siebie? Przecie to dawna przyjaźń...

— Jerzy pisuje do mnie czasami, ja, przysnam się pozostać niekiedy dłużnym odpowiedzi. Ale zawsze żywię dla niego dawne uczucia... Tych nie wykreślamy z serca tak łatwo... my, mężczyźni...

— Czy sądzisz pan, że Jerzy uzyska z czasem katedrę na naszej lub obcej wszechnicy?

— Spodziewam się tego. W każdym razie bardzo mi się podoba jego żądza wiedzy i ambicya. Jerzy, to „duchowo nadzwyczaj zdrowy typ. Zazdroszczę mu tego zdrowia...

— Panu jednakże lepsza czasika przypadła w udziale... O nim, z wyjątkiem szczupłego grona fachowców, znających jego naukowe prace, nikt nie wie, a pańskie nazwisko...

— Ach, nazwisko!...

— No tak... cieszy się już szerokim rozgłosem...

— „Nazwisko” a moje najistotniejsze *ja*, to rzeczy zupełnie różne...

— Nie rozumiem... Przecież aureola sławy już pana otacza. Każda pańska książka budzi zachwyt, uwielbienie... One silą swęj treści i głębi przykuwają do siebie — ale gnębią... Niektóre są jakby rodzajem zmyru, co pierś ugniatą i rzucić jej nie można. Odważam się na paradoks, że zbyt głęboko sięgają do istoty rzeczy i odbierają odwagę do życia. Może nie każdy z czytelników doznawał tego wrażenia — ale ja...

— Więc według pani błędem moim jest...

— To nie błąd przecież za wiele barw ponurych... Naprzykład te „Czarne marzenia”... Rzecz nieporównana, ale trucizna dla tych, co czytają... A trujesz ich pan może z kaprysu...

— Co za przypuszczenie!...

— O! lubujesz się pan w takich tematach... Bo jednak nie mogę opędzić się myśli, że, wy, artyści, rozdieracie nam serca i targacie nerwy na zimno... Głęboka intuicja, mistrzostwo formy, wystarczają, aby dany utwór wywołał silne wrażenie: nie koniecznie trzeba samemu przecierpieć to wszystko, co cierpią dzieci waszego ducha... Osobiście można być szczęśliwym i wesołym... Kto bowiem posiada oprócz szybko zdobytej sławy tak piękną, jak pańska, żonę, ten chyba jest szczęśliwym...

Wiem za ścianą rozbrzmiały dźwięki fortepianu. Ktoś grał nokturn Chopina. Na jej turkusowe oczy opadły cienie czarnych rzęs i pochyliła swą śliczną głowę, chcąc daremnie ukryć rumieniec, co wypłynął na białe lica, niby różowy obłoczek. On, wstrząśnięty nagle, patrzył na nią z sercem bijącym. Nie wiedział, jak długo teraz trwała cisza. Z zapartym oddechem chłonił pierwsze akordy tęsknej pieśni bez słów, nie mogąc z pod jej czaru się uwolnić.

— Ten sam... Ten najulubieńszy wówczas, przed laty — ten... nasz!... A jednak... pani grała go lepiej...

I znów chwila milczenia. Wreszcie podniósł głowę i, szukając jej spojrzenia, mówił z tłumionym uniesieniem:

— Dziwne mam wrażenie patrząc na panią i słuchając tego nokturnu. Zdaje mi się, że tych lat nie przeżyłem wcale, że one były tylko marą senną. Oto cały świat wspomnień zmartwychwstał żywy, piękny, uroczy. Czuję nad sobą czarodziejskie ichnienie młodości i szczęścia, które, niestety, zagasło, jak płomyk zdmuchnięty...

— Co to znaczy być poetą z Bożej łaski!... Utwór muzyczny usposobił pana do improwizacji i odrazu zaczyna pan improwizować na jakiś temat fantastyczny...

— Czy to określenie słów moich ma być antidotem na tę... improwizację?

— Broń Boże! To była tylko szczerza uwaga, że widzę w panu poetę...

— Tylko poetę?

— Tak...

— Więc była to uwaga bardzo — nieszczerza!...

— O!...

— Bo pani widzisz i odczuwasz we mnie teraz tylko człowieka i —

— Ależ... mylisz się pan...

— ...I obawiasz się tej muzyki, co zbudziła uśpione marzy wspomnień, które nadleciały z przeszłości i płaczą nad twoją głową. Nie chcesz ich słyszeć, nie chcesz widzieć, lecz widzisz je wszyskie — czytam to w twych oczach...

— ...Oto jesteśmy ci sami, co dawniej, przed laty. Bo czyż tak nie jest? Spójrz tylko pani w głąb serca... Wszak to było wczoraj... Bawię tam na wakacjach u państwa, jako przyjaciel Jerzego, zaszczytany życzliwością twoją matki. Onego pamiętnego poranka znaleźliśmy się wśród lasu, na prostej linii leśnej, mieniacej się od tysiąca ruchomych świateł. Jechaliśmy obok siebie, szczęśliwi. Pnie sosen, jak pochodnie, płoną czerwono, śpiewy ptaków echa roznoszą daleko... Szczyty starych drzew słońcu, porankowi, pochylają się miarowo, jakby bijąc pokłony, czy... tobie pani. Wtem kofi twój, zląklszy się potwornej kłody, rzuca się w bok. Za chwilę błądą, sirwożoną, z twarzyczką krwawiącą, z powodu upadku, cucę i uspokajam. Serce omal piersi mi nie rozsądzi z żalu, żeś się wylękała, że, uśmiechasz się blado przez łzy, jak wylęknione dziecko, ach, i ze szczęścia, że jestem przy tobie, że wolno dotknąć mi twojej rączki, wolno wilgotną chustką chłodzić zranioną twarzyczkę i uspokajać cię, i uciszać, i pić radość niewysłowioną z twego dobrego, wdzięcznego spojrzenia...

— Co za poezja wspomnień na ile Chopinowskiego nokturnu!...

— Zagrałaś go pani niespodziewanie tego samego dnia wieczorem. Pamiętasz? W salonie był zmrok, tylko księżyc jaśniał w oknach, srebrzył liście kwiatów w doniczkach i kładł dyadem świetlany na twoje włosy cudowne. Grałaś, jak natchniona. Wszyscy byliśmy rozrzuwieni i przejęci...

A potem te cztery tygodnie, spędzone pod jednym dachem: te przechadzki, te rozmowy przyjacielskie, szczerze, poufale, zbliżające tak bardzo, łączące tak ściśle — rozmowy dusz, spragnionych siebie i wyciągających dłonie miłostycznie do uścisku... Pamiętasz?

...Później — nie byłem już zapraszany do państwa. Zapewne mama powtórny mój pobyt w swym dworku uważała za niewłaściwy... Tak... byłem ubogi... Wydział filozoficzny nie daje u nas kariery, awansów, znacznych dochodów... Rzeczy to dobrze znane... Minęły dwa lata i o pani nic nie wiedziałem. Jerzy prawie że nie wspominał. Było to aż nadto wymowne. Tylko raz przypadek zbliżył nas do siebie. Byłem daleko za miastem na przechadzce. Wieczór zapadał, zorze gasły, snuły mi się w myśli jakieś melodye rzewne na temat konających zórz... Wtem z fumanu kurzu na gościńcu wyloniła się bryczka, a w niej ty pani — sama jedna...

...Powitałaś mnie pani z taką swobodą, jak wczorajszego gościa. Słyszę doskonale te słowa banalne, zdawkowe i ten głos czarujący, dźwięczny, ale zimny i obcy. Czy to była gra tak

doskonała, czy zupełne zapomnienie? Kazałaś zatrzymać konie, zaprosiłaś mnie i za chwilę jechaliśmy razem. Mroki padały coraz gęstsze. Oznajmiłaś mi, że jedziesz na kolej po jakąś kuzynkę. Rozmawiałaś swobodnie o studiach Jerzego, o literaturze, muzyce, o moich pierwszych pracach, gratulowałaś — ale ponadto nic, ani jednego ciepłego słowa. Bolesny spazm łkał mi w piersiach, gdy słuchał tej tak bajecznie swobodnej rozmowy i wyczuwał w niej nieodwołalny wyrok śmierci na to, co było mi najdroższym. Lecz do ostatniej chwili ludziłem się jeszcze. Ciemno było, gdyśmy wjeżdżali do miasta. Szalona myśl opętała mnie wówczas. Chciałem przygarnąć cię do siebie i choć raz odetchnąć wonią twoich włosów upajających... Ale nie odważyłem się. Zanim byłaś mi świętą. Potem przed dworcem kolei pożegnałaś mnie bardzo uprzejmie, lecz tak, jak się w obcym mieście żegna przechodnia, który wskazał drogę.

— Po co pan budzi przeszłość?... Czyż nie lepiej, aby dalej spała twardym, kamiennym snem, bez urojeń i czarownych obrazów?... Jednak — zły z pana psycholog...

— Nie, pani. Mimo wszystko miałem ciche, lecz uparte poczucie, że było między nami coś silniejszego, niż prawa i formy, które nas rozdzielily. Ale dość o tem. W każdym razie nie opuściłaś mnie pani znów tak wielkim nędzarzem; posiadałem sztukę, która wówczas była mi bóstwem dobroczynnym, uspokajała, koila, dawała nawet chwile upojenia...

— Wszak miewasz je pan i dzisiaj...

— O, dawno minęły. Wówczas myśl o odrobinie powodzenia odurzała mnie, dzisiaj ten świat wymarzony i upragniony zmierzchał, niby jasna łaka, gdy słońce nagle zajdzie za chmurę. Prawda, jak wtedy smutno? Pani może także inaczej przedstawiałaś sobie oczekujące cię życie...

— Posiadasz pan jednak bądź co bądź swój ulubiony zawód...

— Nie chciałaś pani słyszeć moich ostatnich słów... Przepraszam!... Ach, ulubiony zawód!... W chwili, gdy mnie uznano i do nazwiska przyklejono etykietę z napisem: „talent” — czar prysnął. Pozostała tylko praca, bez której zapewne żyć bym nie mógł, lecz, która jest zarazem moją męką i niewolą, a nie pełnem zadowoleniem, jak bywało dawniej, w początkach. To dziwne — a jednak tak jest. Przekonałem się, że podstawa życiowa, jaką daje ulubiony zawód, nie jest całą podstawą. Gonilem cudną Dafne, a zdobyłem, jak w greckiej legendzie, gałązkę zieloną, którą zwarzy łada ostrzejszy podmuch — i wtedy nic mi nie pozostanie...

— Nic? I... Zapominasz pan, żeś żonały...

— Ani na chwilę nie zapominam. Niewytlomaczona, chora ciekawość pcha czasem człowieka do wielkich hazardów... A hazardy są niebezpieczne... Po takiej grze albo się strzela sobie w łeb, albo... żyje się dalej!... O! niewinny eksperyment na własnej duszy... To ogromnie interesujące!...

— Nie mów pan tak, błagam, nie mów...

— Zachwycającym ruchem podniosłaś pani dłoń do skroni... Nabawiłem migreny zapewne... Istotnie za dużo mówiłem...

— Po co to szyderstwo? I... Ale czyś pan zauważył? Ucichło... Moja sąsiadka rozdarła nielitościwie nokturn w połowie...

— Pani, grając, z pewnością nie dopuszczasz się takich barbarzyństw...

— Nie grywam teraz zupełnie...

— Jakto przy takich zdolnościach? A, to prawdziwa szkoda... Sztuki nie godzi się odrzucać...

— Ja jej też nie odrzucam, tylko — nie mogę. Nie jestem w stanie pomyśleć, jakbym dzisiaj, zasiadłszy do fortepianu, wzięła pierwsze akordy — choćby tego nokturnu...

— Tak... rozumiem. Po nokturnach Chopina scherzo, to rzecz zbyt przykra... Nieustannie scherzo życiowe... rozumiem... Żegnaj panią...

— Ależ mój mąż co tylko nie nadjedzie. Rad będzie widzieć takiego gościa...

— Daruje pani, ale w obecnej chwili, po wysłuchaniu tego nokturnu...

— Nie chciałbyś pan już słuchać przykrego scherza?... Zapewne...